



*Jej Królewska Mość
prowadzi śledztwo*

MORDERSTWO PO KRÓLEWSKU



Połączenie panny Marple i *The Crown*

Ruth Ware

S.J. Bennett



MORDERSTWO PO KRÓLEWSKU



S.J. Bennett

PRZEŁOŻYŁ
Andrzej Goździkowski



TYTUŁ ORYGINAŁU:

Murder Most Royal

Redaktorka prowadząca: Ewelina Czajkowska

Wydawczyni: Maria Mazurowska

Redakcja: Agnieszka Trzebska-Cwalina

Korekta: Ewa Bargiel

Projekt okładki: Nick Stearn

Opracowanie graficzne okładki: Łukasz Werpachowski

Ilustracje na okładce i wyklejce: © Iker Ayestaran

DTP: pagegraph.pl

Copyright © S.J. Bennett, 2022

First published in the UK in 2022 by ZAFFRE. An imprint of Bonnier Books UK

All rights reserved.

The moral rights of the author have been asserted.

Treść niniejszej książki jest fikcją literacką. Wszelkie odniesienia do prawdziwych osób, wydarzeń, organizacji lub lokalizacji mają na celu wyłącznie wywołanie poczucia autentyczności. Wszystkie inne postacie oraz wszystkie sceny i dialogi zostały wymyślone przez autorkę.

Copyright © 2024 for the Polish edition by Wydawnictwo KobiECE
Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Andrzej Goździkowski, 2024

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2024

ISBN 978-83-8371-315-1

Grupa Wydawnictwo KobiECE

| www.WydawnictwoKobiECE.pl



Dziewczyna stojąca na plaży spoglądała ku błotnistym terenom zalewowym ciągnącym się po horyzont. Chciała sprawdzić, czy kryjówki służące do obserwacji dzikiego ptactwa w ostoi przyrody Snettisham na wybrzeżu hrabstwa Norfolk poradziły sobie ze sztormem, który szalał ubiegłej nocy. Za dnia miejsca te służyły ornitologom amatorom, którzy ściągali tu z daleka, aby obserwować gęsi, mewy i większe ptaki brodzące. Nocami natomiast chronili się w nich przed chłodną morską bryzą miłośnicy piwa oraz... innych, bardziej intymnych rozrywek. Poprzedni sztorm zdemolował niektóre chatki i poniósł je daleko ku lagunom. Dziewczyna pomyślała, że najwyraźniej matołkowie z Królewskiego Towarzystwa Ochrony Ptaków poszli po rozum do głowy i tym razem sklecieli kryjówki z solidniejszego drewna.

Wyszła z chatki i znowu omiotła horyzont wzrokiem. Chociaż znajdowała się na skraju Anglii Wschodniej, na wschodnich rubieżach Zjednoczonego Królestwa, wybrzeże skierowane było ku zachodowi i między innymi właśnie za to tak lubiła to miejsce. Rozciągał się stąd widok na wrzynającą się w ląd zatokę Wash, gdzie graniczyły ze sobą hrabstwa Norfolk i Lincolnshire i gdzie kilka rzek uchodziło do Morza Północnego. Człowiek spoglądający z brzegu nie mógł liczyć na efektowne bladuróżowe wschody słońca – te odbywały się za jego plecami. Niebo, jakie widziała teraz, było szare od ciężkich deszczowych chmur, jednak wątle sączące się z góry światło nadawało mu bladzielistego blasku, który z kolei odbijał się w równinach błotnych. W efekcie trudno było stwierdzić, gdzie kończy się ląd, a zaczyna niebo.

Nieco dalej po jej lewej ręce, za lagunami, leżały bagniste peryferie królewskiej posiadłości Sandringham. Zazwyczaj o tej porze roku, gdy zbliżały się święta Bożego Narodzenia, królowa już tu była, lecz tego roku Ivy na razie nie słyszała o jej przybyciu, co wydawało się dość dziwne. Obyczaje królowej, podobnie jak wschody słońca, a także przypływy i odpływy, pozwalały całkiem niezłe orientować się w czasie.

Ivy zerknęła w górę, gdzie po niebie sunął klucz gęsi krótkodziobych powracających do gniazd z łowów na morzu. Jeszcze wyżej, bliżej niej, kręgi zataczał błotniak zbożowy. Plaża Snettisham miała w sobie coś surowego, złowieszczego. Zarówno betonowy chodnik pod jej stopami, jak i proste drewniane budowle wyrastające z błotnych równin były relikdami wojny, w której walczył jej pradziadek. Laguny powstały tu po wydobyciu żwiru niezbędnego do układania pasów startowych dla samolotów wojskowych. Teraz przyciągały tysiące kaczek, gęsi i ptaków brodzących, a powietrze pełne było ich gęgotu i kwakania. Ojciec opowiadał, że kaczki, spłoszone kanonadą artyleryjską, którą prowadzono w ramach ćwiczeń, w końcu porzuciły to miejsce i nie wracały przez kilkadziesiąt lat. A gdy wreszcie wróciły, ludzie uznali to za wspaniały triumf przyrody. Bóg wie, jak potrzeba jej takich sukcesów, bo natura ma teraz pod górkę.

Większość ptaków znajdowała się w tej chwili poza zasięgiem jej wzroku, ale dziewczyna wiedziała, że nie próżnują. Rozległe tereny zalewowe przypominały teraz krwawą jatkę – kiedy tylko woda się cofnęła, do akcji przystąpiły tysiące gągołów i brodców, aby posilić się stworzeniami żyjącymi w piasku.

W pewnym momencie uwagę dziewczyny przykuła kulka biało-czarnej sierści pędząca po błocie z prawej strony. Od razu ją rozpoznała – był to mieszaniec border collie i cocker spaniela z tegorocznego miotu w wiosce, psiak należący do osoby, której nie uważała za znajomą. Zwierzak, najwyraźniej pozbawiony

ludzkiego opiekuna, gnał ku najbliższej drewnianej budowli, jego uwagę absorbowowało coś unoszącego się na powierzchni stalowo-szarej wody niedaleko zbutwiałego słupa sterczącego z morza.

Sztorm pozostawił pamiątki w postaci wszelkiego rodzaju resztek, zarówno pochodzenia naturalnego, jak i takich będących dziełem człowieka. Martwe ryby leżały obok plastikowych butelek i gęstych splotów postrzępionych sieci rybackich. Dziewczyna pomyślała o meduzach, zdarzało się, że je też znajdowała na plaży. Istniało ryzyko, że młody niedoświadczony psiak mógłby zjeść jedną, co groziło poparzeniem pyska i zatruciem.

– Ejże! – zawołała. Pies nie zwracał na nią uwagi. – Do nogi!

Ruszyła za nim biegiem. Wymachując energicznie ramionami, pędziła teraz pośród porostów i solirodów pokrywających żwir. Po chwili wbiegła w błoto. Jej martensy zapadały się w mazisty grunt przy każdym kroku, a w powstałych zagłębieniach od razu zbierała się woda.

– Wracaj, głuptasie!

Psiak dobierał się właśnie do czegoś bezkształtnego i ociekającego wodą. Kiedy chwyciła go za obrożę, popatrzył na nią zaskoczony. Dziewczyna mocno pociągnęła go do tyłu.

Zdobycz pieska okazała się plastikową siatką na zakupy, taką z supermarketu, starą, zmalretowaną, częściowo podartą. Uchwyty były splątane, a ze środka wystawały dwie blade maczki. Dziewczyna wzięła do ręki leżący nieopodal patyk i przy jego pomocy uniosła torbę tak, aby pies nie mógł jej już dosięgnąć. Następnie – nie bez obaw – zerknęła do środka. Nie, to nie była meduza, tylko jakieś inne morskie stworzenie: blade, wzdęte, owinięte wodorostami. Zamierzała zabrać znalezisko, żeby wyrzucić je w przeznaczonym do tego miejscu, ale gdy szła z powrotem ku plaży, przytrzymując za obrożę wyrrywającego się psiaka, w pewnym momencie zawartość torby wypadła na wilgotny ciemny piasek.

W pierwszej chwili pomyślała, że to jakaś zmutowana rosgwiazda. Jednak gdy odsunęła patykiem wodorosty i przyjrzała się dokładniej, zrozumiała, że to coś innego. Przez moment dziwiła się nawet, jak ludzko wygląda to coś z mackami do złudzenia przypominającymi palce. Wtedy jej wzrok przykuł złocisty blask. Jakimś cudem jedna z macek zaplątała się w coś metalowego, okrągłego i błyszczącego. Wyteżywszy wzrok, zaczęła liczyć opuchnięte skórzaste „macki”: jedna, dwie, trzy, cztery, pięć. Złote rozbłyśki tworzyła obrączka na małym palcu. „Macki” zwieńczone były ludzkimi paznokciami.

Ivy upuściła pękniętą torbę, a pod niebo wzbił się jej krzyk.

Rozdział 1

Królowa czuła się fatalnie, i to zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Z żalem zmieszonym z bezsilną wściekłością odprowadziła spojrzeniem wycofującego się sir Simona Holcrofta, po czym sięgnęła do otwartej torebki stojącej przy biurku, wyjęła z niej chusteczkę i wytarła nos.

Lekarz postawił sprawę jasno. Podróż pociągiem nie wchodzi w grę. Księżę w ogóle nie powinien podróżować.

Gdyby nie ból głowy rozsadzający jej czaszkę, być może znalazłaby słowa, aby przypomnieć osobistemu sekretarzowi oczywisty skądinąd fakt, że drogę do Sandringham zawsze pokonywała koleją. Przejazd z Londynu do King's Lynn planowała od wielu miesięcy. Cztery i pół godziny później oczekiwać miał na nią naczelnik stacji wraz ze swoimi podwładnymi. Wszystkie mosiężne elementy wystroju stacji byłyby bez wątpienia wypolerowane na wysoki połysk, płyta peronu lśniłaby czystością, a panowie kolejarze prezentowaliby się nienagannie w świeżo wypranych mundurach. Nie pozwoli, żeby jakiś głupi katar zrujnował jej plany. Skoro nie miała połamanych kości i nikt z rodziny ostatnio nie wyniósł się na tamten świat, zrobi to, co zaplanowała.

Tylko że ból głowy naprawdę był okropny. Kiedy miała wygłosić krótką przemowę, rozkaszała się na dobre. Filipa nie było

u jej boku, ponieważ leżał w łóżku, podobnie zresztą jak przez cały wczorajszy dzień. Niewątpliwie złapali jakiegoś paskudnego wirusa od któregoś z prawnucząt podczas przedświątecznego przyjęcia, które niedawno zorganizowali w pałacu Buckingham dla bliższej i dalszej rodziny. „Małe bomby biologiczne”, mawiał o dzieciach Filip. Oczywiście maluchy nie były niczemu winne, po prostu łapały wszystkie możliwe choroby krążące w przedszkolach i podstawówkach i roznosiły je dalej. Kogo konkretnie miałyby obwiniać o to, co się stało? W trakcie rodzinnego zjazdu wszyscy wydawali się zdrowi.

Wzięła do ręki słuchawkę i poprosiła centralę, żeby połączyła ją z księciem.

Nie spał, ale był półprzytomny.

– Co? Mówże głośniejsze, kobieto! Brzmisz, jakbyś dzwoniła z dna jeziora.

– Powiedziałam... – Umilkła, żeby wydmuchać nos. – Zdaniem sir Simona musisz polecieć do Sandringham jutro, zamiast jechać pociągiem dzisiaj.

To, że w opinii osobistego sekretarza jej mąż powinien całkowicie poniechać podróży, przemilczała.

– Śmigłowcem? – warknął Filip.

– Boeing 747 raczej odpada – skwitowała. Nadal dokuczała jej głowa, była rozdrażniona.

– W wojsku nie pozwalali nam latać... – Kaszlnięcie. – Latać z przeziębieniem. To bardzo niebezpieczne.

– Nie usiądziesz za sterami.

– Jeżeli popęka mi błona bębenkowa w uszach, możesz podziękować sir Simonowi. Skończony głupiec. Nie wie, o czym mówi.

Królowa chętnie przypomniałaby mężowi, że sir Simon jest byłym pilotem śmigłowca marynarki wojennej, ale się powstrzymała. Lekarz, którego rady zasięgnął osobisty sekretarz, cieszył się nieposzlakowaną opinią. Niewątpliwie za tym, aby rekomendować

szybką podróż drogą powietrzną zamiast długiej koleją, przema-
wiały konkretne względy. Filip miał dziewięćdziesiąt pięć lat –
jakkolwiek trudno w to uwierzyć, taka była prawda. Z gorączką
w ogóle nie powinien wstawać z łóżka. Adekwatne zwieńczenie
koszmarowego roku. Mimo że przyjęcie urodzinowe królowej na
wiosnę udało się znakomicie, nie miałyby nic przeciwko, żeby
2016 rok przeszedł już do historii.

– Obawiam się, że decyzja już zapadła. Polecimy jutro.

Udając, że nie słyszy, jak mąż bierze świszczący wdech, po któ-
rym bez wątpienia z jego ust popłynąłby strumień skarg, odłożyła
słuchawkę. Do świąt Bożego Narodzenia pozostało niewiele cza-
su i królowa chciała jak najszybciej zaszyć się w wiejskim zaciszu
Sandringham. Liczyła, że tam nareszcie będzie mogła skupić się
na papierkowej robocie, bo na razie obraz pływał jej przed oczami.

Jesień i wczesna zima upłynęły pod znakiem niepewności. Re-
ferendum brexitowe oraz wybory prezydenckie w USA ujawniły
duży rozdźwięk między polityką prowadzoną przez Whitehall
i Waszyngtonem, rozdźwięk, nad którym niełatwo będzie przejść
do porządku dziennego. Przez ten czas królowa przyjmowała wi-
zyty prezydentów i polityków. Witała ambasadorów, przypinała
ordery do wypiętych piersi, organizowała imprezy fundacji do-
broczynnych, przy czym większość tych obowiązków spełniała,
nie ruszając się z pałacu Buckingham, który w jej odczuciu w tym
względzie nie różnił się od szklanych biurowców w City. Perspek-
tywa przeniesienia się do Norfolk, z jego przestrzeniami i lasem
sosnowym, wiatrem od morza, bezkresnym angielskim niebem
i przemykającymi po nim ptakami, wydawała się taka kusząca.

Królowa od wielu dni marzyła, że już tam jest. Sandringham
było dla niej równoznaczne z Gwiazdką. To tutaj Boże Narodzenie
zawsze spędzał jej ojciec, a przed nim jego ojciec, a wcześniej rów-
nież ojciec jego ojca. Kiedy dzieci były małe, łatwiej było na święta

jechać do zamku Windsor. Ale jej wspomnienia bożonarodzeniowe z dzieciństwa zawsze miały koloryt hrabstwa Norfolk.

Nazajutrz, opatuleni kocami, z pieskami ułożonymi u stóp, królowa z małżonkiem wzbili się pod chmury na pokładzie śmigłowca. Pod nimi przesunęły się dachy Cambridge, zachwycające średnio-wieczne wieże katedry w Ely, zwanej „okrętem na bagniskach”, po czym udali się w kierunku północnowschodnim, ku King’s Lynn. Szachownica pól przetykana była tu lasami sosnowymi, usiana wybiegami dla koni i chatynkami z szarego kamienia. W pewnym momencie, gdy przelatywali nad Abbottswood, u dołu mignęła perłoworóżowa rezydencja w stylu regencji, a po chwili ujrzeli stadko jeleni niespiesznie przechadzających się po otaczającym ją trawniku. Dalej napotkali rozległe pola i lasy majątku Muncaster graniczącego z jednym z gospodarstw rolnych na terenie Sandringham. Potem mijali już pola, groble i sioła królewskiej posiadłości. Kiedy śmigłowiec nawracał, podchodząc do lądowania, Jej Wysokość w oddali dostrzegła rozmigotaną zatokę Wash, chwilę później na tle sosen ukazała się bryła rezydencji Sandringham, a wraz z nią ogrody, francuskie i angielskie, stawy i rozległy trawnik, który z powodzeniem mógł służyć jako lądowisko dla śmigłowca.

Rezydencja z czerwonej cegły, którą wzniósł Edward VII Windsor, gdy był księciem Walii, pozwalała wyrobić sobie zdanie o tym, jak wiktoriański architekt wyobrażał sobie dom z czasów Jakuba I Stuarta. Osoby znające się na architekturze zazwyczaj były zażenowane tym, jak prezentował się owoc jego rojeń. Ale królowa, podobnie jak wcześniej jej ojciec, nic sobie z tego nie robiła – wręcz ubóstwiała wszystkie nietypowe zakamarki, jakie kryła w sobie posiadłość. Filip, człowiek o bardzo sprecyzowanych poglądach w kwestiach architektonicznych, wyszedł raz z propozycją, aby wyburzyć Sandringham, ale na szczęście nic z tego nie wyszło. Zresztą tym, co tak naprawdę przyciągało królową do tego miejsca, nie była sama rezydencja, lecz otaczające ją tereny o powierzchni ponad

ośmiu tysięcy hektarów: bagna, rozlewiska, tereny leśne i ziemie uprawne. Tutaj królowa, którą zawsze pociągało życie na wsi, mogła razem z Filipem nareszcie poczuć się jak miejscowi – co prawda nie naprawiali z księciem płotów w strugach ulewnego deszczu ani nie zrywali się o świcie, żeby odbierać porody jagniących się owiec, ale nie zmieniało to faktu, że czuli się blisko związani z ziemią. Wspólnie troszczyli się o nią i ją kochali, ponieważ stanowiła tę część planety, która naprawdę należała do nich. Właśnie tutaj, na północy hrabstwa Norfolk, mogli czynnie działać na rzecz ulepszenia świata: dla flory i fauny; dla osób, na których stoły trafiały ich plony; dla tych, którzy pracowali tu na roli; dla przyszłości. Była to ich prywatna spuścizna, o której nie wypowiadali się publicznie (przypadek Karola, który przyjął odmienną strategię, czegoś ich nauczył) – lecz która była bardzo bliska ich sercu.

W swoim biurze, w części rezydencji przeznaczonej dla „ludzi pracy”, Rozie Oshodi oderwała wzrok od ekranu laptopa akurat w chwili, gdy z nieba spłynął śmigłowiec i usiadł na ziemi na tle drzew. Asystentka osobistego sekretarza królowej przybyła na miejsce pociągami rano tego samego dnia. Do pracy oddano jej apartament dla personelu dworskiego, wyposażony w funkcjonalne meble w stylu edwardiańskim. Ale pod nieobecność sir Simona jej kuratela obejmowała cały dom, a wręcz cały kraj, przynajmniej zdaniem matki Rozie. Sir Simon, kierujący kancelarią królowej z werwą admirała i taktem ambasadora, które to funkcje mógłby z powodzeniem pełnić, gdyby jego życie potoczyło się nieco inaczej, spędzał urlop w szkockim regionie Highlands. Na czas świąt Bożego Narodzenia królowa udostępniła jemu oraz jego żonie, Sarze, wiejską chatę na terenie posiadłości Balmoral w dowód uznania dla jego dokonań z jesieni kończącego się roku. W rezultacie Rozie na dwa tygodnie przejęła stery w kancelarii. Matka Rozie skomentowała to: „Teraz wszystko zależy od ciebie. Nie stresuj

się niepotrzebnie, ale jesteś jak pierwszy czarnoskóry Thomas Cromwell. Stałaś się prawą ręką królowej. Jej oczami i uszami. Nie schrzań tego”. W ustach matki wzmianka o Thomasie Cromwellu była zaskakująca, Rozie nigdy nie posądzała jej o fascynację historią Anglii z epoki Tudorów. Doszła do wniosku, że ktoś tu czytał powieści Hilary Mantel.

Jako że zbliżały się święta, Rozie spodziewała się, że nie będzie narzekać na nadmiar pracy. Odkąd kancelaria królowej nie musiała już zajmować się kasatą klasztorów ani aranżowaniem królewskich małżeństw, do jej głównych zadań należały współpraca z rządem, kontakty z mediami oraz organizacja grafiku publicznych wystąpień królowej. Tyle że teraz, ze względu na Gwiazdkę, wszelka aktywność w urzędach wzdłuż Whitehall i na Downing Street praktycznie zamarła i na tych frontach panował spokój. Media zafiksowały się na świątecznych tematach. Do najbliższego publicznego wystąpienia królowej pozostały trzy tygodnie, a i ono było bardzo niewinne – miała to być organizowana na wsi popołudniowa herbatka. Czyli nuda, przynajmniej oceniając sytuację z perspektywy Thomasa Cromwella. Rozie w tym czasie nadganiała zaległości w korespondencji, stopniowo przekopując się przez maile, które z jakiegoś powodu nie zostały oznaczone jako „pilne”. Godzinę temu do jej skrzynki wpadła kolejna wiadomość, po której zaczęła powątpiewać, czy przerwa świąteczna na pewno będzie tak spokojna, jak się spodziewała.

Gdy para królewska ruszyła ze śmigłowca do wejścia, w holu oczekiwali już główna pokojówka, pani Maddox, i jej zespół, jak zawsze nienagannie się prezentujący. W środku pachniało dymem drzewnym z kominka w salonie, gdzie rodzina miała potem chętnie spędzać czas, sącząc napoje i grając w rozmaite gry. Pieski, wyraźnie zadowolone z powrotu na stare śmieci, wbiegły do pomieszczenia. Filip udał się prosto do łóżka.

Królowa natomiast uznała, że nie odmówi sobie paru świeżo upieczonych ciasteczek z nadzieniem bakaliowym i dzbanuszka herbaty darjeeling. Skosztowała je w bawialni – jasnym i przestronnym pokoju o dużych oknach wykuszowych wychodzących na trawnik. W jednym z wykuszy stała już świąteczna choinka przyniesiona z lasu należącego do majątku. Na niektórych gałązkach powieszono czerwone i złociste ozdoby, z dekorowaniem reszty wstrzymano się do jutra, gdy dojedzie reszta rodziny. Zazwyczaj to królowa wybierała świerk, ale w tym roku nie było na to czasu. Niewygórowana cena za przytulne popołudnie w czterech ścianach, którego bardzo w tej chwili potrzebowała.

Kończyła omawiać z panią Maddox plany na następne dni, gdy w drzwiach bawialni stanęła Rozie.

Dziewczyna dygnęła, a królowa zauważyła, że pod pachą trzyma laptopa. Nie wróżyło to niczego dobrego.

– Czy Wasza Wysokość znajdzie chwilę?

– Jakiś problem? – spytała królowa, licząc, że dziewczyna zaprzeczy.

– Niezupełnie. Ale jest coś, o czym powinna pani wiedzieć.

– Ojej. – Spojrzenia obu pań się spotkały i królowa, westchnąwszy, powiedziała: – Przejdźmy do małej bawialni.

Poprowadziła przybyłą do sąsiedniego pokoju, któremu delikatne roślinne ornamenty na ścianach nadawały kobiecego charakteru. Kontrastowały z nim pełne życia rzeźby ptaków, które kazał tu postawić Filip – miały one przypominać o jednej z rozrywek, jakim uwielbiał się oddawać podczas pobytu w posiadłości.

Rozie, znalazłszy się w małej bawialni, zamknęła za sobą drzwi. Królowa uniosła na nią oczy. Asystentka osobistego sekretarza była atrakcyjną trzydziestolatką, mierzącą ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, a dodatkowo uwielbiającą buty na obcasie, które stały się jej znakiem rozpoznawczym. Niziutka, mierząca zaledwie sto pięćdziesiąt siedem centymetrów wzrostu wiekowa monarchini

zdążyła już przywyknąć do tego, że musiała zadzierać głowę, gdy rozmawiała niemal z każdym. Nie robiła z tego problemu, o ile sytuacja nie wymagała krzyczenia do wysokich, głuchych jak pień książąt i ministrów. Na szczęście słuch asystentka osobistego sekretarza miała doskonałą.

– No dobrze. O co chodzi? Mam nadzieję, że to nic związanego z nowym prezydentem USA.

– Nie, proszę pani. Skontaktowała się ze mną policja. Przykro mi to mówić, ale dokonano pewnego odkrycia.

– Ach tak?

– Wczoraj rano na plaży Snettisham znaleziono dłoń.

Królowa drgnęła zaskoczona.

– Ludzką?

– Tak, proszę pani. Sztorm wyrzucił ją na brzeg. Była zawinięta w plastikową torbę.

– Wielkie nieba. A wiadomo chociaż, skąd się wzięła?

– Z firmy Ocado trudniącej się dowozem artykułów spożywczych zakupionych w marketach Waitrose.

– Chodzi mi o dłoń.

Rozie zmarszczyła brwi.

– Na razie nie udało się tego ustalić. Policja liczy, że niedługo zidentyfikuje tożsamość ofiary. Na jednym z palców znaleziono nietypową obrączkę, która może okazać się pomocna.

– Czyli to dłoń kobiety?

Rozie potrząsnęła głową.

– Mężczyzny. To sygnet.

Dopiero teraz stało się jasne, czemu miał służyć przyniesiony przez dziewczynę laptop. Sir Simon przyszedłby bez niego. Na szczęście, biorąc pod uwagę okoliczności, nie było go tutaj. Osobisty sekretarz królowej miał w zwyczaju chronić Szefową przed wszelkimi „nieprzyjemnościami”. Nie brał jednak pod uwagę, że przeżywszy dziewięćdziesiąt lat, abdykację i wojnę światową

oraz straciwszy na wczesnym etapie życia ojca, a także doświadczony licznymi skandalami rodzinnymi, królowa była doskonale przygotowana do stawienia czoła „nieprzyjemnościom”. Rozie pod tym względem odznaczała się bardziej realistyczną oceną sytuacji. Kobiety, jak już dawno odkryła królowa, rozumiały się wyśmienicie. Znały swoje mocne i słabe strony i umiały docenić te pierwsze.

– Mogę ją zobaczyć?

Rozie postawiła laptopa na małym biurku przy oknie.

Ekran rozbłysnął i po chwili wyświetliły się na nim cztery fotografie. Królowa założyła okulary i przez chwilę je studiowała. Wykonano je w laboratorium medycyny sądowej. Przedstawiwały męską dłoń oraz nadgarstek. Poniżej knykci widoczne były jasne włoski. Skóra, trupioblada, była spuchnięta i pomarszczona, lecz poza tym nieuszkodzona. Dłoń wyglądała niczym makabryczny rekwizyt teatralny albo zabawka służąca do strojenia niewybrednych żartów. Na dłużej królowa zatrzymała się przy ostatnim zdjęciu ukazującym zbliżenie małego palca. Tkwił na nim, wrzynając się głęboko w upiornie białe ciało, sygnet, o którym mówiła Rozie: stosunkowo duży, z owalnym czerwono-czarnym kamieniem, na którym wyrytowany jakiś herb.

– Znalazła ją miejscowa dziewczyna, proszę pani – poinformowała Rozie. – O ile dobrze zrozumiałam, wyszła na spacer z psem. Policja pracuje już nad identyfikacją ofiary. Nie powinno im to zająć więcej niż kilka dni, pomimo okresu świątecznego. Podejrzewają, że dłoń może należeć do handlarza narkotyków. Na plaży, nieco dalej, znaleziono też wyrzucone przez morze dwie duże torby z prochami. Według jednej teorii ofiara została porwana, a dłoń odcięto, aby wysłać wiadomość albo domagać się okupu. Oczywiście odcięcie kończyny wymagało użycia siły, ale wcale nie musi to oznaczać, że osoba, do której należy ta dłoń, nie żyje. Dochodzenie ma szeroki zakres. Policjanci...

– Mogę oszczędzić im trudu – oznajmiła monarchini, unosząc wzrok znad fotografii.

Rozie spojrzała na nią zaskoczona.

– Jak to, proszę pani?

– Mogą zawęzić zakres dochodzenia. To dłoń Edwarda St. Cyra. Królowa na krótki moment przymknęła oczy. „Ned – pomyślała. – Dobry Boże, to Ned”.

Dziewczyna zrobiła zdumioną minę.

– Zna pani ofiarę? Rozpoznała ją pani na podstawie tych fotografii?

W odpowiedzi królowa wskazała jeden szczegół na zdjęciu w górnym rzędzie po lewej stronie.

– Przyjrzyj się zakończeniu środkowego palca. Widzisz? Jest spłaszczony. Kiedy był jeszcze nastolatkiem, Edward odciął sobie kawałek opuszki podczas robót ciesielskich. No i oczywiście mamy jeszcze sygnet... To heliotrop, w dodatku całkiem charakterystyczny. Wryty na nim łabędź pochodzi z rodowego herbu. – Przyglądała się zdjęciu jeszcze przez chwilę. Nigdy nie przepadała za tym sygnetem. Wydawał jej się krzykliwy i w złym guście. Wszyscy mężczyźni z rodu St. Cyrów nosili taki, ale tylko jeden z nich stracił koniuszek środkowego palca. Ned musiał mieć około szesnastu lat, kiedy to się stało. Był z niego taki żywy, pomysłowy chłopak. Od tamtego czasu upłynęło ponad pół wieku.

– W takim razie to nie był miejscowy baron narkotykowy – zażytkowała Rozie.

– Ale za to był wnukiem prawdziwego barona. Co, nawiasem mówiąc, wcale nie znaczy, że nie był miłośnikiem narkotyków. Wręcz przeciwnie. Może nadal nim jest – poprawiła się szybko. Pomysł podsunięty przez Rozie, jakoby Ned żył, wydawał się niepokojący. Ale pewnie umarł. Bo jeśli nie, Bóg tylko raczy wiedzieć, w jakim znajdował się stanie. – Miejmy nadzieję, że policja rychło ustali, co się stało.

– Spozrzeżenie Waszej Wysokości niewątpliwie przyspieszy ich pracę.

Przez moment spoglądały sobie w oczy: królowa błękitnymi, Rozie piwnymi.

– Nie ma powodu, by wiedzieli, kto rozpoznał sygnet.

– Oczywiście, proszę pani. – Po roku pracy na dworze Rozie znała już zasady tej gry: królowa nigdy nie rozwiązała, ani nawet nie pomogła w rozwiązaniu, żadnej zagadki kryminalnej. Była jedynie stojącym z boku, aczkolwiek zaciekawionym, obserwatorem. Jednak jak z czasem Rozie się przekonała, zainteresowania Szeffowej sięgały znacznie głębiej niż większości ludzi, których znała. – Czy jest coś, co mogłabym jeszcze zrobić?

– Nie w tej chwili – odparła zdecydowanym tonem monarchini. – Na razie to wszystko.

Co prawda znalezisko było makabryczne, lecz mimo to królowa odetchnęła z ulgą na myśl, że dłoń wypłynęła na terenie rezerwatu, z którego korzystało Królewskie Towarzystwo Ochrony Ptaków. Mówiąc bez ogródek, to nie był jej problem. Tuż przed Bożym Narodzeniem, na zakończenie okropnego roku, liczyła, że tak już zostanie.

– Oczywiście, proszę pani. – Rozie zamknęła laptopa i wyszła z pokoju.



*Sięgnij po
więcej!*



www.wydawnictwokobiece.pl



kobiece



[wydawnictwo.kobiece](https://www.instagram.com/wydawnictwo.kobiece)